

**DZIEWCZYŃKA**  
**Z**  
**NIEBIESKIMI KOKARDAMI**  
(Moja Pamiątka)

*Joanna Gliwa*  
*Warszawa - Brzóza,*

Obraz jest średniej wielkości, to olej na płótnie – 51 x 46 cm – trochę podniszczony, gdzieś pokryty plamkami i drobnymi załamaniem, oprawiony w ramę w odcieniu starego złota. To seledynowo – płowy w tonacji portret, przedstawiający zamysłoną bladą dziewczynkę o niebieskich oczach z dwoma jasnobłond warkoczykami przybranymi kokardami w kolorze oczu. Malujący musiał być nie tylko świetnym artystą, ale i niezłym psychologiem. To zamyslenie dziewczynki, znakomicie uchwycone, wręcz przyłapane spojrzenie do środka, jakie mają czasem mali ludzie, a które nielicznym pozostaje w dorosłych latach. Jest w nim cała poezja i tajemnica dzieciństwa.

Dziewczynka z niebieskimi kokardami to moja mama w wieku ośmiu lub dziewięciu lat. Jej portret został namalowany w 1941 lub 1942 roku przez „zaginioną” malarkę Emilię Wyszatycką.

\* \* \*

Moi pradiadkowie ze strony mamy osiedlili się w Warszawie w końcu XIX wieku. Pradiadek, Wojciech Czarnecki (urodzony w 1879 roku) pochodził z Mszczonowa, prababka, Józefa z Kalinowskich (urodzona 16. marca 1877 roku) z podmszczonowskiej wsi Zbojska. Wiem o nich tak niewiele i niestety nie żyją już ci, którzy mogliby tę wiedzę poszerzyć. Choć być może gdzieś, na dnie jakiejś nieoczekiwanej szuflady leżą zapomniane zdjęcia czy dokumenty. Początkowo pradiadkowie zamieszkali w kamienicy przy ulicy Towarowej (nie znam numeru). Musieli dysponować pewnym skromnym kapitałem, gdyż otworzyli mały sklep spożywczy, w tym samym domu na parterze. Szybko jednak sprzedali rodzinny interes, gdyż jak mawiał pradiadek: *Józia mnie z torbami puści!* Prababcia, gdy miała dobry humor, a z natury dobra, przyjazna ludziom miała go prawie zawsze, przeważała towar sąsiadkom i lekką ręką dawała na krechę do pierwszego.

Po sprzedaniu sklepu pradiadek zaczął pracować w Gazowni warszawskiej. Z opowiadań mojej babci wynika, że zawsze potrafił zapewnić dostatni byt rodzinie, nie stronił przy tym od rozrywek właściwym mężczyznom. Bardzo lubiłam opowiadanie o tym, jak od czasu do czasu w sobotę czy niedzielę pradiadek wyprawiał się na wyścigi. Po kilku godzinach wracał i od razu, już z daleka było wiadomo: wygrał, czy przegrał. Jeśli to pierwsze szedł obwieszony paczuszkami jak choinka ozdobami. Wisiały na guzikach płaszczka i skrywały ciastka, czekoladki, perfumy dla prababci, a raz w małym pudełeczku siedziała kura i kurczęta zrobione z mydła, które szczególnie sprawiły przyjemność dziewczynkom. Gorzej, jeśli żadnych paczuszek nie było, bo to oznaczało, że wygrał nie ten koń i nie ma też pieniędzy...

W domu przy Towarowej przyszły na świat ich wszystkie dzieci: Leon i Kazimierz oraz cztery córki: Henryka, najstarsza urodzona 13. stycznia 1905 roku to właśnie ukochana babcia Henia, dalej Helena, Stanisława i najmłodsza Władysława.

Kraj Dzikiego Wina zaczął się w 1928 roku. W latach dwudziestych na wschodnim krańcu Pragi Północ – plebejskim przedmieściu Warszawy, zaplanowano powstanie tak zwanej wówczas Kolonii Grochów. Parcele przy świeżo wytyczonych ulicach nabywali rzemieślnicy, drobna inteligencja i robotnicy. Pradziadek Czarnecki w styczniu 1934 roku nabył działkę budowlaną przy ulicy Widzewskiej i razem ze swoim zięciem (dziadkiem Wacławem) wybudowali na niej dom. W następnym roku (20. maja 1935) w biurze notariusza Zygmunta Neumanna pradziadek odsprzedał „całą należącą do niego działkę gruntu wraz z nowo wybudowanym domem i w ogóle z tem wszystkim co się na miejscu znajduje (...) Wacławowi i Henryce małżonkom Duszyńskim za dobrowolnie umówioną cenę sprzedażną 4500 cztery tysiące pięćset złotych.” Pradziadek zmarł pięć miesięcy po podpisaniu tego aktu, 9. października 1935 roku. Być może przeczuwając śmierć chciał uporządkować swoje sprawy, a także zabezpieczyć byt żonie, bowiem w dalszej części dokumentu znajduje się zobowiązanie małżonków Duszyńskich do zapewnienia Józefie Czarneckiej dożywotniego mieszkania w nowo wybudowanym domu. Tak się stało, prababcia mieszkała w domu córki Henryki do śmierci, która nastąpiła w 1955 roku. Przeżyła męża o dwadzieścia lat.

Parterowy drewniany dom postawiony w 1935 roku mieścił dwa duże pokoje z kuchnią na dole, jeden mniejszy na poddaszu, sień ze spiżarnią pod schodami; od frontu miał nieduży ganek, na który wchodziło się po trzech stopniach. Całość pomalowano na wiśniowy kolor, który po latach przybrał wyblakły odcień brudnych lodów truskawkowych. Od ulicy bronił wstępu wysoki parkan szczelnie obrośnięty dzikim winem. To znaczy wtedy jeszcze to wino nie było tak spienione i szczelne jak później w mojej pamięci.

Ulica Widzewska została zabudowana tylko po jednej stronie – w sumie stało tam około osiemnastu domów – z drugiej ciągnął się wąski pas łąki zamieniony podczas okupacji na kartoflano- marchwiowe działki, a za nim prawie wklepany dziś w ziemię nasyp kolejowy, naturalny mur oddzielający od reszty dzielnicy.

Z drugiej strony, mniej więcej kilometr dalej, za luźnymi zabudowaniami i łąkami rozciągała się malownicza, biedna, knajacka Szmulowizna, której nazwa wywodzi się od imienia żyjącego w XVIII wieku żydowskiego kupca i bankiera Szmula Jakubowicza Zbytkowera (znany w historii także jako Józef Samuel Sonnenberg, 1727 – 1801), protoplasty znanego żydowskiego rodu Bergsonów. Był kupcem, bankierem, a przede wszystkim protegowanym Stanisława Augusta Poniatowskiego. Za zasługi handlowo – finansowe czyli ogromne pożyczki na zawołanie - otrzymał on od wiecznie potrzebującego pieniędzy w dzierżawę około stu hektarów na praskim przedmieściu stolicy. Był założycielem istniejącego do dziś kirkutu, na którym został pochowany. Szmulowizna, Szmulki, dzielnica której już prawie nie ma, o lumpenproletariackim sznycie i coraz rzadziej wspominanym imieniu. Tu lepiej już było. Kiedy? Może przed wojną, choć zawsze to było przedmieście, ale jednak wtedy brzmiało to inaczej:

*Dwa serdelki.  
Pół butelki,  
A za grosik papierosik!*

Po wojnie pozostało z tego:

*Rano kluski, wieczór kluski,  
Naród polski a rząd ruski!*

Ulica Kawęczyńska, czyli główna arteria Szmulowizny. Wulgarne gęby obdartych z tynku kamienic zioną od lat tym samym nieświeżym oddechem: odwieczna gotowana kapusta, stęchły kalafior i dysonans grząskiej nuty wznoszącej się z podwórkowych śmietników. Na podwórku - studni między trzepakiem a komórkami wznosi ręce do kwadracika nieba gipsowa białoniebieska madonna. Na każdym z podwórek od Kawęczyńskiej do Brzeskiej tak samo niewinna i tak samo bezradna. I czasem tylko rumiane pelargonie w oknach, które kwitną tu za cały bukiet, za ogród, za wszystkie parki i ogrody świata. Wódka i piwo, trzy karty i harmonia, lody „Bambino” i słodycz pańskiej skórki, czasem podróże do Ząbek i Młocin i tak to jest tutaj, było w latach pięćdziesiątych, sześćdziesiątych . . .

Przy tej enklawie szarości plebejski Targówek zakwitał niczym wiejski warzywnik z gołębnikami, swojską rodziną pijaków z końca ulicy, ze sklepikami z naftą, słodyczami wyrabianymi według przedwojennych receptur i farbowaną oranżadą, z murowanymi kapliczkami, w których schludne staruszki zmieniały przed figurą Pana Jezusa krochmalone obrusiki i stawiały w słoikach bukiety margerytek, peonii, lwich paszczy, brodatych goździków i floksów.

Szmulowizna miała jedną przewagę, zbląkaną tu z innej części już nie miasta lecz świata. Z konstelacji drewnianych domków, pękających kamieniczek, zakurzonych podwórek wynurzał się najpiękniejszy kościół prawobrzeżnej Warszawy: Bazylika Serca Jezusowego księży salezjanów, wzniesiona w 1907 roku dzięki pomocy Marii księżnej Radziwiłłowej, która ofiarowała plac bod budowę, a także pieniądze i papiery wartościowe na jej realizację. Gdzie można znaleźć drugie takie schody w mieście, które na pewno nie było drugim Rzymem, choć zbudowano w nim tę świątynię skopiowaną z rzymskiej bazyliki świętego Pawła za murami? Monumentalny fryz drogi krzyżowej opasujący kościół w środku z ponad naturalnej wielkości postaciami pretorianów wymalowanymi na ścianach, złociste mozaiki głównego ołtarza uzupełniane latami przez artystę w habicie i tyle powietrza nad głową. Tak daleko do stropu podtrzymywanego przez dwadzieścia cztery kolumny z różowego, śliskiego granitu ściągnięte w nieobrobionych bryłach z Baveno nad lago Maggiore. Nie, miasto nie było drugim Rzymem, ale nie pasująca do szpetnej chropawości lichego otoczenia bazylika na Szmulowiznie była i jest zaproszeniem do podróży. Ilekroć tu zawędruję, co zdarza się nie za często - jak to w życiu, rzuciło mnie daleko od Kraju Dzikiego Wina - ale się zdarza, więc ilekroć tu zawędruję widok wyslizganych kocich łbów, stara pętla tramwajowa ciągle w

tym samym miejscu, ów nieuchwytny dychotomiczny wdzięk który czyha na przybysza w perspektywie obdartej ulicy spiętej tą włoską broszą, to wszystko uspokaja myśli, pozwala odpocząć w pięknie i na chwilę dać się oszukać: znów być tamtym dzieckiem.

\*

*- Jestem Polakiem wyznania rzymsko – katolickiego, urodzonym w 1895 roku w Nasielsku. Ukończyłem siedmiooddziałową szkołę powszechną. Umarli mi rodzice, więc nie mogłem się dalej uczyć, poszedłem do pracy...*

Tak po latach dziadek Waclaw zaczął swój oficjalny życiorys. Napisaną odręcznie kartkę znalazłam po śmierci babci w tekturowej teczce z rodzinnymi dokumentami. Przyszedł na świat razem z Marianem, swoim bratem bliźniakiem, 7. września 1895 roku w rodzinie Marianny i Piotra Duszyńskich, mających nieduże gospodarstwo we wsi Nuna pod Nasielskiem w powiecie pułtuskim. Po przedwczesnej śmierci obojga rodziców – niestety nic poza tym nie wiem, dlaczego i że oboje na raz, wszystko ginie w mroku z braku zanotowanych przekazów – pomagał w gospodarstwie najstarszemu bratu Stanisławowi i jego żonie, Helenie. Te gałązki szczątkowej genealogii bardzo się po latach gmatwają. Po – znów przedwczesnej - śmierci Stanisława z wdową po nim ożenił się Marian, ów bliźniaczy brat dziadka.

Wkrótce dziadek przeniósł się do Pułtuska w poszukiwaniu pracy. Zachowane strzępy dyplomu wydanego przez Urząd Starszych Zgromadzenia Kowalskiego w mieście Pułtusku zaświadcza, że Waclaw Duszyński cztery lata uczył się rzemiosła kowalskiego u pana Kazimierza Wójtowicza i został uznany za rzemieślnika dnia 13. lipca 1919 roku.

Z dyplomem, który stanowił jego cały majątek, wyjechał do Warszawy i znalazł posadę w Zakładach Amunicyjnych „Pocisk”. W 1924 roku podjął pracę w Warsztatach Rusznikarskich Zbrojowni Warszawskiej; w 1938 roku otrzymał brązowy medal za wieloletnią służbę. W mojej wiedzy na temat początków dziadka w stolicy zięją białe plamy. Przecież przyszedł 1920 rok, bolszewicy parli na Warszawę, mężczyźni niezależnie od wieku i pochodzenia tysiącami zgłaszali się do wojska. W książeczce wojskowej dziadka widnieje wpis ze stosowną pieczęcią: *Pobrano dn. 21. VIII. 1920 roku przez PKU Miasta II.* Gdzie został przydzielony, w jakich zdarzeniach i kiedy brał udział? Same znaki zapytania. Po II wojnie nigdy się o tym nie mówiło, zresztą wojna polsko – bolszewicka to w ogóle nie był temat przez okres całego PRL -u. Pozostał tylko ten wpis w zniszczonej książeczce wojskowej.

A tak chciałabym wiedzieć! Bo ów dziadek Waclaw – kiedy mój czas się zaczął, już trzy lata go nie było na świecie – jest mi bardzo bliski poprzez babcię, opowiadania mamy; podczas różnych zwątpień i beznadziei pocieszam się, że przecież musi mi się udać, bo mam go trochę we krwi. Jest znakomitym punktem odniesienia. Był człowiekiem prawym, zwolennikiem starych solidnych zasad: sprawiedliwości, dobroci, uczciwości, lojalności. Odznaczał się

wielkoduszością, a przy tym posiadał wiele umiejętności praktycznych, był przedsiębiorczy, znakomicie też radził sobie w sytuacjach trudnych, wymagających natychmiastowych i trafnych decyzji, co zawsze ma znaczenie, ale szczególnie waży podczas wojny. Więcej nawet, miał w sobie coś, co można nazwać swoistym duchem przetrwania, potrafił przekraczać niewidoczne granice, tym samym zapewniając swoim bliskim lepszy los.

Nie wiem też w jaki sposób poznali się dziadkowie. Ślub wzięli 4. lutego 1923 roku w kościele Wszystkich Świętych. Najpierw zamieszkali z rodzicami przy Towarowej. Początek małżeństwa był dla nich czasem wielkiej próby. Przez trzy kolejne lata urodziło im się troje dzieci: dwóch chłopców i dziewczynka. I wszystkie zmarły wkrótce po narodzinach, żadne nie przeżyło nawet pół roku. Nieznane są przyczyny ich śmierci. Przed wojną śmiertelność noworodków była bardzo wysoka. Dopiero po tej trójce przyszedł na świat dzieci, którym dane było przeżyć: w 1930 roku syn Benon, a w trzy lata później Daniela, moja mama. Wiele lat po wojnie, gdy chodziłyśmy na cmentarz brudnowski, zawsze, po odwiedzeniu grobu dziadka i pradziadków, babcia prowadziła mnie do kwatery maleńkich dziecinnych grobków i paliła, na którymś lampkę. Za każdym razem na innym. Czasem nie miałyśmy lampki, ale szło się zawsze. Nie wiedziałam, że gdzieś w tym miejscu do 1939 roku znajdowały się trzy mogiłki, które razem z większością uległy zniszczeniu podczas wojny. W ogóle w dzieciństwie nic o tej tragedii rodzinnej, podobnie jak o innych wojennych historiach nie wiedziałyśmy.

Po wybuchu II wojny światowej 4. września Zbrojownię Warszawską ewakuowano do Równego na Wołyniu. Po 17. września powiedziano pracownikom, że w zaistniałej sytuacji, mogą podjąć na własną rękę decyzję o swoim losie. Dziadek miał czterdzieści cztery lata, przed sobą trudny wybór. Jakie przeżywał rozterki? Jak wyglądał powrót, na który się zdecydował? Do Warszawy wrócił na piechotę, do domu przyszedł w końcu października. I znowu suche fakty, daty, dopiero zdarzenia późniejsze istnieją w pamięci mojej mamy.

*- Po wywiezieniu ojca razem z całą Zbrojownią zostaliśmy sami: ja, brat, mama, jej matka czyli moja babcia i jeszcze była z nami młodsza siostra mamy, Władzia. Pewnego dnia we wrześniu rozeszła się pogłoska, że tu gdzie mieszkamy będzie pierwsza linia frontu. Mama bardzo się tego wystraszyła i zabrała nas wszystkich do swojego wuja na ulicę Bednarską. Pamiętam, jak szliśmy piechotą przez most Kierbedzia, pod nogami dudniły deski, a dookoła spadały bomby zapalające. Po drugiej stronie Warszawy było znacznie gorzej niż na Pradze. Po zjedzeniu zapasów zrobionych przez moją mamę, jedliśmy tylko suszony chleb, jakim dzielili się z nami stacjonujący niedaleko żołnierze. Po trzech tygodniach wróciliśmy do siebie. W domu dużo rzeczy było ukradzionych. Ponieważ moja mama umiała szyć, z tego nas utrzymywała.*

*Wreszcie wrócił tata. Nie pamiętam, w którym dniu, ale był duży śnieg. Wiem, że zima w 39 roku przyszła wcześniej. Tata wszedł na podwórko i najpierw*

otrząsnął śnieg z drzewek owocowych, a potem wszedł do domu. Od razu zrobiło się lepiej, choć trwała już okupacja niemiecka, ale był ktoś, kto o nas dbał i nas utrzymywał. Ojciec miał się różnych zajęć i był głównym zaopatrzeniowcem w żywność. Kupował na bazarze niemieckie wojskowe szynele, także koce, a mama szła z nich męskie kurtki na watolinie. Ojciec wywoził je na wieś i za nie przywoził żywność – mąkę, kaszę, słoninę, jajka, więc było lżej. Czasem jeździłam z tatą na te wyjazdy, aby w razie łapanki ojciec występował jako pan z dzieckiem, a do paczek się nie przyznawał. Na wsi nocowaliśmy u różnych gospodarzy, przeważnie w stodole na sianie, czy słomie. Kiedy budziłam się rano, a ojca nie było – chodził po wsi za żywnością – płakałam, bo myślałam, że zabrali go Niemcy. Miałam przecież tylko siedem lat. Pierwsza wojenna Gwiazdka była bardzo biedna. Razem z Benkiem martwiliśmy się, że nie będzie choinki. A tato któregoś dnia wyszedł rano nic nie mówiąc i długo nie wracał. Mama denerwowała się, że pewnie coś złego się stało, tymczasem tato przyszedł już po ciemku, wlokąc za sobą spory świerczek. Okazało się, że poszedł na piechotę aż do lasu w Ząbkach, żebyśmy mieli świąteczne drzewko. Trudno opisać naszą radość. Ubraliśmy je w świecidełka i świeczki jeszcze przedwojenne, ale nie było mowy o cukierkach. Tato poprzycinał nam równe, wąskie patyczki, pozawijaliśmy je w lśniące papierki i choinka wyglądała jak zawsze.

Pewnego razu mojemu tacie nie powiodła się wyprawa na wieś. Pojechał wtedy sam. Został aresztowany i zawieziony do obozu koło Łowicza. Jeździliśmy tam do niego na widzenia. Zwolniono go stamtąd po trzech tygodniach. Ale znów go złapano podczas ulicznej łapanki i umieszczono na Skaryszewskiej w szkole, gdzie Niemcy zrobili taki punkt rozdzielania Polaków na wywóz do Rzeszy. Dostaliśmy wiadomość, że tata jest przeznaczony na wywózkę. Mama podała mu paczkę z ciepłą bielizną i papierosami, o które bardzo prosił. Został już ogolony i miał jechać nazajutrz po badaniach lekarskich. Ojciec całą noc nie spał i wypalił całe sto sztuk papierosów. Rano podczas badania lekarz stwierdził, że tata jest gruźlikiem, takie miał zadymione płuca. Został zwolniony z powodu złego stanu zdrowia i w nocy wrócił do domu. Co to była za niespodzianka!

Po dwóch ocaleniach z łapanek dziadek nie chciał już kusić losu i zaniechał wypraw na wieś. Pracował w Zakładach Mechanicznych Fabryka Śrub na ulicy Dalekiej, co dawało mu bezpieczny Bescheinigung, ale zupełnie nie wystarczało na utrzymanie bliższej i dalszej rodziny. Zainstalował więc w sieni piec chlebowy a także żarna. Ludzie przychodzili z żytem do zmielenia, dawali kilogram razowej mąki za kilogram chleba, który babcia piekła, a tak zwana nadpieka stanowiła zapłatę za usługę. Na ulicy Rosińskiej mieszkał pan B., który pędził bimber i to w dużych, handlowych ilościach. Kiedyś poprosił dziadka o zmielenie sporej ilości żyta. I oprócz zapłaty dał całą skrzynkę kwasu Karpińskiego. Mama pamięta to rzadkie w ciągu pięciu lat okupacji święto. Nieznany dziś kwas Karpińskiego w smaku przypominał rozpuszczoną landrynkę malinowa, wiśniową albo truskawkową tylko gazowaną.

20. października 1939 roku Niemcy ogłosili zarządzenie o zdawaniu aparatów radiowych z terminem do 5 listopada. Konfiskatę sprzętu radiowego nadzorowały policja i służby administracyjne. W domu były dwa radioodbiorniki, bo ciotka Helena przywiozła na przechowanie swój: „*Heniu, bo ja z dziećmi jadę do rodziców Franka na wieś, no i jak thuc się z radiem, a u was tyle miejsca* (mąż ciotki, Franek trafił do oflagu po zakończeniu kampanii wrześniowej). Babcia tych aparatów nie oddała. Po powrocie dziadka z wrześniowej tułaczki, w nocy wyszli na ganek, zdjęli kamienne płytki, którymi był wyłożony i tam zagrzebali oba radia. Potem starannie łożyli płytki z powrotem, tak że nie można było niczego poznać. Tak się wydawało. A po kilku dniach zastukał do drzwi elegancko ubrany pan, przedstawił się i wyjął z teczki gruby zeszyt. Ten pan pracował w administracji dzielnicowej. „*Pani Duszyńska, nie zdała pani odbiorników radiowych – a ma pani dwa - tylko je ukryła, a za to jest kara – wie pani jaka. . . Proszę z tym szybko coś zrobić i uważać. Żebym nie musiał znów tu przychodzić.*” Po czym otworzył zeszyt i pokazał notatkę o donosie, który na nią wpłynął. Było tam także nazwisko donosiciela. W nocy dziadkowie zdjęli płytki jeszcze raz i wydobyli radia. Nazajutrz babcia włożyła odbiorniki do worka i poszła z duszą na ramieniu na ulicę Olgerda, gdzie mieszkała bratanica dziadka z mężem. Był to klasyczny swój chłopak, nazywał się Klemens, był bardzo przywiązany do dziadka, który pomógł mu w stawianiu pierwszych kroków w Warszawie. Powiedział: „*Niech się stryjenka nie martwi i zapomni o tych aparatach. Najlepszy pies ich nie wywęszy.*” Ukrył je rzeczywiście skutecznie, przetrwały okupację, a po wojnie wróciły na Widzewską. Babcia nigdy nikomu, poza dziadkiem, nie zdradziła, kto był tym donosicielem i skąd się dowiedział o nocnej akcji na ganku Duszyńskich.

Przyszedł wrzesień 1940 roku. Mama zaczęła naukę w pierwszej klasie. Działała jeszcze Szkoła Podstawowa nr 117 przy ulicy Mieszka I, w której po latach ja także miałam zacząć edukację. Tylko w moim czasie był to już powiększony o nowe skrzydło budynek. Po wojnie zmieniono także numer placówki na 58. Jeszcze na świadectwie mamy z roku szkolnego 1940/ 41 (datowane 28. czerwca 1941 roku) widnieje numer 117. Świadectwo jest dwujęzyczne, pieczętka szkoły tylko w języku niemieckim. Jak wspomina mama „normalna” edukacja niedługo potrwała:

*Niemcy zajęli naszą szkołę po kilku miesiącach, nie pamiętam dokładnie, ile pochodziliśmy na Mieszka I, ale niedługo. Urządzili tam coś w rodzaju kasyna. No i wtedy zaczęła się nauka po prywatnych mieszkaniach: tu dwie klasy się uczyły, tam dwie klasy i tak to szło. Na ulicy Powodowskiej u rodziny Zembrzuskich został wynajęty pokój na szkołę. Także na ulicy Nieświeskiej w kamienicy był wynajęty pokój z kuchnią na naszą szkołę. W pokoju uczyła się jedna klasa, a w kuchni druga. Po Nieświeskiej chodziliśmy na Narwiańską, też do prywatnego mieszkania, ale to już była następna klasa. Panowała straszna bieda. Wiele dzieci przez większą część roku biegło na bosaka. Do mojej klasy chodziły dwie siostry, chyba bliźniaczki, Alfreda i Władysława Waclawek. Miały*

tylko jedną parę zimowych butów. Przychodziły więc na zmianę, co drugi dzień każda. Były bardzo pilne, pomagały sobie i mimo tego chodzenia w kratkę dostały promocję do następnej klasy. Zapamiętałam, że dyrektorem naszej szkoły był pan Stanisław Grzeszczyk; pamiętam też panie Chrapkiewicz i Bernaciak. Moją wychowawczynią, nauczycielką języka polskiego i plastyki była malarka pani **Emilia Wyszatycka**. Pamiętam, że całe mieszkanie miała obwieszane obrazami. Nie pochodziła z Warszawy. Razem ze swoimi obrazami i sztalugami przybyła na Targówek przygnana zawieruchą wojenną. Skąd? Wydaje mi się, że ze Wschodu, ale mogę się mylić. Nie przelewało się u niej i utarł się zwyczaj, że w niedzielę kolejne rodziny jej uczniów zapraszały ją na obiad. **Pani Wyszatycka** dorabiała do skromniutkiej pensyjki malowaniem portretów za parę złotych. Nie brała drogo. Dziadek czasem, jak wracał ze wsi z towarem dawał jej a to trochę kartofli, jajka, kawałek słoniny i nie brał za to pieniędzy. I za którymś razem **pani Wyszatycka** zaproponowała, że namaluje mój portret. Była honorowa, nie chciała tak korzystać z pomocy, chciała się zrewanżować. No i w ten sposób, ja zwykła mała dziewczynka zostałam sportretowana przez prawdziwą malarkę. Niestety nie umiem powiedzieć, co stało się z **panią Wyszatycką**. Uczyła nas do końca roku szkolnego 1943/44. A później zaczęło się Powstanie, potem przyszli Rosjanie. Trwała wojenna zawierucha i nasza pani gdzieś przepadła, zniknęła razem ze swoimi obrazami.

Przedostatnia faza wojny, która dla warszawiaków na zawsze będzie się kojarzyć z Powstaniem, również po naszej stronie Wisły przyniosła nasilenie akcji niemieckich, wzrost zagrożenia i w efekcie śmierć wielu mieszkańców. Także Praga przygotowywana była do Godziny „W”, jednak walki w tej części miasta szybko się zakończyły (walki trwały w pierwszym tygodniu Powstania), ze względu na wielokrotną przewagę nieprzyjaciela. Targówek Fabryczny należał do Rejonu II Obwodu AK Praga. Co prawda Powstańcom udało się zdobyć kilka obiektów, w tym Fabrykę Broni Mysliwskiej przy ulicy Piotra Skargi, posterunek „granatowej policji” przy Oszmiańskiej, budynki kolejowe przy wiadukcie nad ulicą Radzymińską, ale wkrótce zostali z tych miejsc wyparci. Niepowodzeniem zakończyła się także próba zdobycia szkoły przy ulicy Mieszka I (to moja późniejsza szkoła podstawowa).

„Ul. Księcia Ziemowita miała być osią natarcia dla oddziałów powstańczych, których zadaniem było zajęcie budynku szkoły powszechnej przy ul. Mieszka I, oczyszczenie Targówka Fabrycznego i Utraty z oddziałów wroga oraz utrzymanie łączności bojowej z III rejonem Grochów. Powstańcy w czasie ataku na budynek szkoły zostali ostrzelani z pociągu pancernego, patrolującego linię kolejową w kierunku Wołomina i Żabek. Poległo około dwudziestu pięciu żołnierzy, pozostali wycofali się na sąsiednie ulice. Następnie do akcji włączyła się piechota nieprzyjaciela, wsparta samochodami pancernymi. Odezwała się również artyleria ostrzeliwująca osiedle znad Kanalu Bródnowskiego. Przed zapadnięciem zmroku nieprzyjaciel przystąpił do pacyfikacji osiedla. Podpalono domy, a wyciąganych z mieszkań ludzi rozstrzeliwano. Jedna z egzekucji miała

*miejsce przy ulicy Księcia Ziemowita 42. Zwłoki pomordowanych pochowano na Cmentarzu Bródnowskim. Ustalono nazwiska ofiar:*

*Cieślak Franciszek, lat 41, cieśla.*

*Karski Sylwester, lat 23, ślusarz.*

*Kowalski Zbigniew, lat 17, furman.*

*Marciniak Tadeusz, lat 19, cukiernik.*

*Młućko (Mućko lub Młudzko) Stanisław, lat 46 kolejarz.*

*(„Na Targówku kamienie mówią...Przewodnik po miejscach walk i pamięci”, Warszawa 2008.)*

To w jednym z tych pełnych grozy dni na ulicę Widzewską i Rosieńską zajęły niemieckie budy. Podczas błyskawicznej akcji Niemcy zabrali wszystkich mężczyzn, którzy ukończyli szesnaście, a nie ukończyli sześćdziesięciu pięciu lat. W odróżnieniu od tych z ulicy Księcia Ziemowita ci mieli szczęście, nie zostali rozstrzelani. Zawieziono ich na ulicę Skaryszewską, skąd skierowano do transportów z darmowymi pracownikami dla Rzeszy Niemieckiej. Jedynym, który uniknął aresztowania był Waclaw Gruziel, mąż najmłodszej siostry babci, cioci Władzi. Gdy już wyprowadzono go razem z dziadkiem i dołączono do sąsiadów, ciotka, zawsze trochę szalona, ale o gorącym sercu wybiegła za nim, rzuciła się do Niemców z krzykiem, że on chory, cherlawy, jednocześnie ściągnęła z męża koszulę, pokazując jego plecy całe w bliznach i zgrubieniach. I Niemcy go zostawili. Takie cuda się czasem zdarzały.

W tym samym czasie na sąsiedniej ulicy Rosieńskiej, gdzie rozgrywało się identyczne polowanie na niewolników, również miało miejsce coś z kategorii cudów wojennych. W dwupiętrowej kamienicy wśród polskich rodzin mieszkała volksdeutschka Sabina. Gdy budy zajęły na ulicę, zbiegła na parter i waląc w drzwi kolejnych mieszkań, wyciągała mężczyzn. Ukryła wszystkich w swoim mieszkaniu. Niemcy tam nie zapukali. Mężczyźni ocaleli. Sabina znikła jeszcze przed wkroczeniem Rosjan. Któregoś dnia jej mieszkanie okazało się puste. Być może zdarzenie to nie należy do kategorii cudów, a wiele ma wspólnego z wyrachowaniem. Volksdeutschka wiedziała, że gwałtownie zmienia się układ sił, Niemców za chwilę nie będzie, że może zacząć się czas rozliczeń za „czyny i rozmowy”. Ci uratowani sąsiedzi mogli się stać jej kołem ratunkowym, gdyby nie powiodła się ucieczka. Jednak, jak by nie było, uratowała tych kilka istnień. Co się z nią stało? Mówiono, że zdążyła odjechać ze swoim Niemcem, że uciekła na Ziemię Odzyskane i tam żyje pod zmienionym nazwiskiem.

Wszystkich mężczyzn z Widzewskiej i Rosieńskiej Niemcy załadowali do bydłych wagonów na Dworcu Wschodnim. Tym razem dziadek pojechał do Niemiec na dobre – w swoim życiorysie napisał, że został wywieziony 25. sierpnia. Zostawił rodzinę w pewnym sensie zabezpieczoną, o ile w ogóle w kontekście wojny można o jakimkolwiek zabezpieczeniu mówić. Podczas okupacji wybudował dwa dość solidne schrony, jeden w ogrodzie blisko domu, drugi większy z drewnianą podłogą obok parkanu. We wrześniu 1944 roku, gdy

po drugiej stronie Wisły trwało Powstanie, na praskie przedpola stolicy podeszły wojska 1. Frontu Białoruskiego dowodzone przez marszałka Konstantego Rokossowskiego. Było dokładnie jak w piosence: *A tam na Pradze Ruskie stojali / i stała cała ichnia wataha . . .* Niemcy zaczęli bombardować tę część miasta, na którą już wkraczali Rosjanie, rozpętało się tam prawdziwe piekło. Wszyscy w popłochu schronili się wówczas w tym większym schronie i spędzili tam kilka dni. W schronie przebywali: prababcia Józefa, moja babcia z mamą i jej bratem Benkiem, siostry babci: ciocia Basia i ciocia Władzia z ocalonym mężem i z dwumiesięczną córeczką Jolą (moja późniejsza chrzestna) w beciku oraz sąsiadka Kawałowska z synem Irkiem. Siedzieli tam już przeszło dobę, bardzo głodni, mieli tylko wodę w beczce. A w sieni w chlebowym piecu pozostały upieczone tuż przed nalotem bochenki chleba. Babcia wzięła ze sobą Benka i poczołgali się po ten chleb. Gdy byli tuż pod gankiem, potężny pocisk rozwalił drzwi i kawał muru. Dziesiątki drzazg ugrzęzły w twarzy chłopca, która wyglądała jak krwawa masa, ale chleb przynieśli. Jakimiś chusteczkami, kawałkami pieluszki Joli prowizorycznie opatrzono twarz Benka, która została nafaszerowana drzazgami. Po naradzie postanowili jednak ewakuować się do bezpieczniejszego schronu, a właściwie do piwnicy w domu Mierzykowskich znajdującego się na końcu ulicy. Przeczolękali się tam pod ścianami zabudowań wszyscy oprócz Gruzielów, którzy bali się z maleńkim dzieckiem opuścić kryjówkę. W domu Mierzykowskich były solidne wysokie piwnice i przebywali tam prawie wszyscy mieszkańcy ulicy. Moja mama zapamiętała wstrząsającą scenę: w korytarzyku siedziała na ziemi kobieta, a na jej kolanach leżał nieprzytomny chłopiec z mózgiem na wierzchu. Matka z martwym wyrazem twarzy gałązką oganiała natarczywe muchy. Babcia martwiła się zmasakrowaną twarzą Benka. I znowu zdarzenie z gatunku niewiarygodnych. Do piwnicy przyszedł Niemiec, który okazał się lekarzem w mundurze i w dodatku jeszcze człowiekiem. Obejrzał rannych i powiedział, że chłopcu z odkrytym mózgiem nie można już pomóc (zaraz umarł). Pokazał jak powyjmować drzazgi z twarzy Benka, zostawił środki opatrunkowe i buteleczkę spirytusu do dezynfekowania ran i wyszedł.

Nie było wytchnienia. Pociski ścięły dom Mierzykowskich, a gruzy zawaliły wyjście. Na szczęście do piwnicy przytykała obora, a we wspólnej ścianie widniało okienko i przez nie można było wyjść na powierzchnię. Babcia zebrała swoich i znowu nastąpił powrót do domu. Zastali tam pobojojisko. W miejscu schronu, w którym niedawno siedzieli głębokie zapadlisko. Przez moment trwogi myśleli, że Władzia z mężem i córeczką nie żyją, zmiażdżeni i pogrzebani pod stropem schronu. Jednak kto ma żyć, ten przeżyje, choćby wbrew piekłu, niebu i niemieckim bombom. Belki zawalonego do środka schronu utworzyły rodzaj trójkątnej niszy, w której Władzia z mężem i Jolą przetrwali, choć mocno posiniaczeni i podrapani. Teraz już razem, także z prababcią Czarnecką przenieśli się pod nasyp kolejowy do sporego schronu sąsiadów Wernerów i tam doczekali wreszcie końca ostrzału, bombardowań i „wyzwolenia”.

Pewnego dnia – według wyliczeń mojej mamy mógł to być 14. września - nagle na pierwszych stopniach ziemianki zobaczyli wojskowe buty i wyżej rękę trzymającą granat. Właściciel butów i granatu po polsku nakazał natychmiast wychodzić, bo inaczej będzie po nich. Wszyscy bardzo się bali. Napięcie przełamała prababka Czarnecka – *Ja wyjdę! Jestem taka stara, co mi mogą zrobić? Na śmierć jestem przygotowana.* Przeżegnała się i wyszła. No i okazało się, że to był polski żołnierz, bo na pobliskie łąki już podeszli Rosjanie a z nimi polskie oddziały 1. Armii Wojska Polskiego. I ten żołnierz powiedział, żeby nie wychodzić z ziemianki, bo łączność jest zerwana i na razie „nasi” czyli Ruscy nas bombardują, bo myślą, że tu są Niemcy. A w ogóle, jeśli przyjdą na ulicę Rosjanie, to jak będą chcieli wziąć cokolwiek z domów, to żeby się nie sprzeciwiać, niech biorą, co chcą. Pobyt Rosjan upamiętnił się co nocnym, metodycznym okradaniem okolicznych ulic dom po domu i wycięciem prawie wszystkich drzew. Z naszego domu nie było co ukraść, bo wszystko, co mogło przedstawiać jakąś wartość, zostało wcześniej zakopane w ogródku. Wiszący na podziurawionej kulami ścianie portret małej dziewczynki nikogo nie zainteresował.

O wywiezionych do Rzeszy mężczyznach z ulicy Widzewskiej przez prawie rok nie było o żadnych wieści. Wiosną 1945 zaczęli powracać. Niektórzy, bo część nie wróciła nigdy. Jeden z powracających przyniósł złą wiadomość, która rozpełzła się po całej ulicy: „*Wacław Duszyński został rozstrzelany*”. W albumie rodzinnych wspomnień przechowujemy historię jego powrotu. Przejeżdżna kobieta powracająca z głębin wojennego wygnania w swoje strony, której babcia dała nocleg, kolację i trochę prowiantu, chcąc się odwdzińczyć rozłożyła karty. Wyczytała w nich, że ten, którego już pogrzebano, przyjdzie latem w dniu zakończonym jedyneką. Miał to być pierwszy, jedenasty, dwudziesty pierwszy lub trzydziesty pierwszy, któregoś letniego miesiąca. Dziadek stanął w obrośniętej winem furtce 21. sierpnia 1945 roku. Moja dwunastoletnia mama siedziała na zrujnowanym ganku i obierała ziemniaki. Przez jedną iskierkę czasu nie poznała go – spotkali się w połowie ogrodowej ścieżki.

To była sprawa instynktu, czy tej wrodzonej umiejętności błyskawicznego podejmowania właściwej decyzji, co w sumie na jedno wychodzi. Gdy grupę polskich niewolników, w której znalazł się dziadek dowieziono do Halle, stanął przed nimi niemiecki urzędnik w towarzystwie esesmana i zarządził: *Pracownicy kolejowi, wystap!* Dziadek, który nigdy nie pracował na kolei, wyszedł z szeregu, pociągając za sobą kuzyna. Przeżyli. Wszyscy, którzy się wówczas nie zgłosili, jako nieprzydatni zostali rozstrzelani.

Od powrotu z niewoli dziadek żył jeszcze 11 lat. Pobyt w Niemczech nadszarpnął jego zdrowie. Miał pięćdziesiąt lat, ale według dzisiejszych norm wyglądał starzej. Podjął pracę w Zakładach Drzewnych przy ulicy Siarczanej, więc miał blisko z domu.

W sobotnie popołudnie po pracowitym tygodniu dziadek lubił wkładać odświętny prążkowany garnitur. W kieszonkę kamizelki wsuwał srebrny

zegarek, swojego ulubionego szwajcara. Bardzo dbał o schludność, elegancję, maniery. Papierosy trzymał w srebrnej papierośnicy – prezencie od babci. Rzadko nosił czapki, uważając że nakrycie głowy poważnego mężczyzny to kapelusz. Najchętniej wkładał brązowe borsalino. W nim też został pochowany. Kiedy leżał już w trumnie w odświętnym garniturze i z obojętnością śmierci na twarzy, moja zapłakana Mama zdjęła z wieszaka prawie nowy kapelusz i ułożyła w nogach zmarłego. Waław Duszyński, mój dziadek zmarł na raka 27. kwietnia 1956 roku.

Taki niech pozostanie: starszy pan ze zdjęcia stojącego na serwantce, dziadek Waław, dla którego najważniejsza była rodzina, uczciwość, lojalność i praca, i to, co przekazał mamie, że bosy, ale w ostrogach, zawsze szykowny, w kapeluszu, garniturze w prążki, ze srebrną dewizką spływającą z kieszonki kamizelki.

\* \* \*

**P. S.** Pamiątki z tamtych lat, martwi, przypadkowi protagoniści ze snutych przy różnych okazjach wspomnieniach mojej Mamy, przetrwały lata i odchodzących z nimi ludzi. Mama, Daniela Sypuła z Duszyńskich ma dziś 87 lat i choć niektóre szczegóły zdarzeń czasem jej umykają, myślę, że i tak odznacza się dobrą pamięcią.

Niestety, nie udało nam się dowiedzieć niczego o powojennych losach wychowawczyni Mamy, pani Emilii Wyszatyckiej. Pozostał wykonany przez nią portret, jej podpis na świadectwie szkolnym Mamy z 1941 roku oraz zdjęcie – na fotografii zbiorowej przedstawiającej klasę ze szkoły nr 117 widać ją wśród małych wychowanków.

Joanna Sypuła - Gliwa